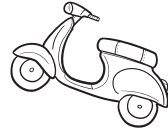
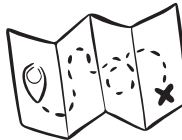




DO
ZOBACZENIA
NA WENUS



VICTORIA VINUESA

PRZEŁOŻYŁA: ZUZANNA BYCZEK



Tytuł oryginału: *See You On Venus*

Text copyright © 2023 by Victoria Vinuesa
All rights reserved.

Cover design by Jinna Shin
Images for cover art: © Pitt Street Productions LLC.

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Redakcja: Justyna Techmańska
Korekta: Magdalena Magiera, Justyna Charęza
Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-277-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Creamy 80g 2,0, dostarczonym przez **ZiNG** Sp. z o.o.

*Mojej jednej, jedynej miłości.
Pewnego dnia spotkamy się na Wenus.*

MIA

Od początku było wiadomo, że nie zabawię na tym świecie zbyt długo. Czasem w myślach nazywam to za krótkim terminem przydatności do spożycia. Podejrzewam, że właśnie dlatego moja matka zostawiła mnie dwa dni po porodzie. A ponieważ nie ma mowy, że bym umarła, zanim zdobędę całkowitą pewność, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko osobiście ją o to zapytać, chociaż wiąże się to z przeprawą na drugą stronę Oceanu Atlantyckiego oraz ucieczką z domu.

Kiedy tylko stukot wysokich obcasów Katelynn, mojej matki adopcyjnej, cichnie w głębi korytarza, a zaraz po nim rozlega się skrzypnięcie drzwi wejściowych, biegnę do swojego pokoju i zaglądam pod łóżko. Tak, wciąż tam jest, moja vintage'owa walizka, którą rok temu kupiłam na wyprzedaży garażowej. Naszyte na obiciu z zielonej skóry flagi opowiadają o niesamowitych miejscach, których nazw nawet nie potrafię wymówić, nie wspominając o tym, że nigdy ich nie odwiedzę. Kładę walizkę na łóżku, przetrząsam swoją stronę szafy i pakuję wszystkie ciuchy: dwie pary spodni, trzy koszulki, szczęśliwy kardigan i dwa swetry, trochę bielizny, trzy zeszyty, kolorowe pisaki i najcenniejszą

rzecz, jaką posiadam, czyli aparat fotograficzny. Chwytam jeszcze różowy wełniany szalik wiszący na drzwiach szafy jak gwiazdkowa girlanda, pocieram miękką tkaniną o policzek i chociaż wiem, że wiosna już nadeszła i nie będzie mi potrzebny, po prostu nie mogę zostawić go tu całkiem samego.

Kiedy go zdejmuję, przez pokój przemyka cień. Obracam się błyskawicznie i staję naprzeciw własnego przerażonego odbicia w szybie okiennej. Wrzeszczę i zaraz wybucham śmiechem. Zda się, że jestem nowicjuską w kwestii ucieczek z domu, nie da się ukryć.

Chciałabym wierzyć, że moje serce samo postanowiło być inne, wyjątkowe i jedyne, że dlatego urodziłam się z co najmniej trzema wadami. Ale w sumie nie ma to większego znaczenia, ponieważ stworzyłam plan, plan idealny: dokładnie za rok i dwa dni wyruszę do Hiszpanii, by odnaleźć matkę. Pojedzie ze mną Noah, kumpel z zajęć z fotografii. Cóż, ten plan jest nieaktualny. Tym razem wylądowałam w szpitalu na dwa tygodnie, a lekarze zawyrokowali, że już nie można odwlekać operacji, ja się jednak z nimi nie zgadzam. I nie zmienię zdania. Chyba nic nie rozumieją, ale już jakiś czas temu przestałam się tłumaczyć.

Nie boję się umierania. Tę umiejętność dostaje się w dniu narodzin. Ale boję się operacji, boję się, że otworzą mi serce, chociaż nie mam nikogo, kto by się przejmował jego stanem. Sorki, mnie możecie od razu skreślić.

Rothwellowie nie pozwalają mi za często podróżować, o wyprawach na inny kontynent nawet nie wspominając, co znaczy, że z chwilą, gdy w niedzielę wsiądę na pokład samolotu lecącego do Hiszpanii, zyskam oficjalny status uciekinierki, jednej

z tych, których nazwiska pojawiają się w komunikatach o zaginionych osobach. Zostały mi dwa dni, żeby znaleźć kogoś, kto zechce i akurat będzie mógł ze mną polecieć. Serce tłucze mi się o żebra. Szybko łykam tabletkę, chociaż lekarze przestrzegali, że można je zażywać tylko w sytuacjach awaryjnych. Nie zamierzam ryzykować nawrotu, na pewno nie teraz.

Zamykam walizkę i zapisuję sobie w myślach listę potrzebnych dokumentów. Sfałszowana zgoda rodziców na podróż, odhaczone. Akt urodzenia, odhaczone. Podrobiony paszport, odhaczone. Prawdziwy paszport. Ups, o mały włos bym zapomniała. Wdrapuję się na krzesło, z niego na biurko, błagając w myślach, żeby się nie przewróciło, wyciągam rękę i przesuвам wzdłuż górnej części szafy. Noah, mój kumpel, który miał ze mną jechać, ukrył paszport w tym miejscu, żeby rodzice go nie zabrali. Wspinam się na palce, sięgam głębiej, macam – nic, nie licząc wielgachnych kłębów kurzu.

Kłękam i układam stos z podręczników z ostatniej klasy do edukacji domowej, które już nie będą mi potrzebne. Ostrożnie wdrapuję się na nie i sięgam najdalej, jak tylko się da. Dokładnie w chwili, gdy moje palce wreszcie natrafiają na szorstką okładkę, rozlega się skrzypnięcie drzwi wejściowych. O-o. Łapię paszport i szybko schodzę z góry złożonej z książek, biurka oraz krzesła i zeskakuję na podłogę.

W korytarzu słychać głośne kroki, nie rozpoznaję ich jednak. Rzucam walizkę na podłogę i nogą wsuwam pod łóżko. Dokładnie w tej samej sekundzie drzwi do pokoju się otwierają.

– Mia, Mia, nie uwierzysz, co się stało w szkole! – wrzeszczy Becca, wpadając do środka jak wystrzelona z procy. Becca

to moja młodsza siostra, również adoptowana, i współlokatorka oraz – tak się składa – moja najulubieńsza osoba pod słońcem.

Wypuszczam wstrzymywane powietrze.

– Ale mnie wystraszyłaś.

Becca rzuca plecak na podłogę, zatrzaskuje drzwi piętą i podbiega do mnie.

– Nie poszłam na zajęcia wyrównawcze. No, po prostu musiałam ci powiedzieć. Pamiętasz tamtą dziewczynę, która w trzeciej klasie nazwała mnie debilem? No to dzisiaj oblała z Anglika. I... – urywa nagle, wlepia wzrok w paszport w mojej dłoni, następnie wbija we mnie swoje małe błagalne oczy. – Wyjeżdżasz?

– Już o tym rozmawialiśmy – odpowiadam najbardziej kojącym tonem, na jaki potrafię się zdobyć. – Nie pamiętasz?

Kręci głową, a zaszkłone oczy mówią mi, że nie, nie pamięta. Becca urodziła się z łagodnym upośledzeniem funkcji poznawczych, niektóre sprawy po prostu jej umykają. Pewnie dlatego mieszkamy razem w tym pokoju, u rodziny, z którą żadnej z nas nie łączą więzy krwi. Biologiczni rodzice postanowili jej się pozbyć, gdy problem stał się zbyt zauważalny. Miała wtedy pięć lat.

Obejmuję dłońmi jej miękką piegowatą twarz i się uśmiecham. To zawsze ją uspokaja.

– Chcę zrobić zdjęcia zorzy polarnej, pamiętasz? – szepczę.
– To nasza tajemnica, nie możesz nikomu powiedzieć, nigdy. – Krzyżuję palce, podnoszę je do ust i kiwam głową: nasz sekretny znak, którego nauczyłam się w Świętym Hieronimie, ośrodku, w którym dorastałam.

Becca uśmiecha się od ucha do ucha, niesamowicie podekscytowana, a mnie jest strasznie przykro, że ją okłamuję, ale

nauczyłam się lata temu, że o pewnych sprawach lepiej nikomu nie mówić, tylko wtedy są bezpieczne. Poza tym jak miałabym jej powiedzieć, że nie wrócę? Zresztą to chyba nieważne, Becca już skupiła całą uwagę na widoku za oknem.

– Popatrz – mówi, wyglądając na ulicę. – To ten chłopak z drużyny futbolowej. Ten, który zabił Noaha.

Z trudem udaje mi się powstrzymać od szlochu.

– Becco, nie mów tak. – Marszczę brwi. Napęłam mnie smutkiem nie tyle śmierć Noaha, co myśl o cierpieniu tych wszystkich ludzi, którzy zawsze będą o nim pamiętać. – To był wypadek. – Podchodzę do okna i widzę chłopaka wychodzącego z domu naprzeciwko. – Nie wyobrażam sobie, jak on się czuje. – Właściwie to sobie wyobrażam, bo myślałam o tym nieskończoną ilość razy. Jak on będzie z tym żył?

Ma na imię Kyle i chociaż był najlepszym przyjacielem Noaha, nigdy się nie poznaliśmy. Adopcyjni rodzice właściwie nie pozwalają mi wychodzić z domu, chyba że na wizyty u lekarza, niedzielną mszę, zajęcia z fotografii i czasem poranny spacer. Josh, który mieszka w tamtym domu, też był w samochodzie. Podobno jest w kiepskim stanie.

Patrzę na Kyle'a, który stoi bez ruchu na naszej wąskiej uliczce, zapatrzony w pustkę, jakby czas się dla niego zatrzymał, i próbując sobie wyobrazić, o czym przed chwilą rozmawiał z Joshem, co się między nimi wydarzyło.

– Co on robi? – pyta Becca, ciągnąc mnie za rękaw. – Czemu tak stoi?

Trudno stwierdzić z tej odległości, ale wydaje mi się, że jest bliski płaczu. Patrzy w prawo, w stronę centrum, potem w lewo,

gdzie rozciągają się lasy. Powoli, jakby oszołomiony, rusza w tamtym kierunku, lekko utykając, z plecakiem niedbale zarzuconym na ramię, patrząc prosto przed siebie.

– Mia, dokąd on idzie? Co zamierza zrobić? O co chodzi?

Nie mam czasu wymyślić przekonującej odpowiedzi, bo w tym momencie na ulicy pojawia się autobus, mija nasz dom i zatrzymuje się dokładnie przy Kyle’u. Na chwilę tracimy go z oczu, a gdy autobus rusza, chodnik jest pusty.

Becca rzuca mi zdziwione spojrzenie.

– Wsiadł do tego autobusu? Mia, dlaczego pojechał tą linią? Można nią dotrzeć tylko do wodospadu. O tej godzinie nikt tam nie jeździ.

Ma rację, chyba że Kyle zamierza zrobić to, czego jednak, mam nadzieję, wcale nie robi. Oczywiście nie dzielę się z Beccą tym przypuszczeniem, ale w środku zaczynam cała się trząść. Wyglądał na zdesperowanego. Nie, bardziej. Nieraz widziałam ten pusty wzrok na ostrym dyżurze – do kompletu z bandażami na nadgarstkach bądź pompowaniem żołądka. Muszę sprawdzić, czy nic mu się nie stanie. Muszę to zrobić dla Noaha. Nie chciałby, żeby coś złego spotkało jego kumpla. Przysuwam się bliżej do okna, patrzę na oddalający się autobus.

– Mia, chcesz pograć w scrabble?

Becca najwyraźniej przeszła do innych spraw, ale ja nie. Intensywnie myślę, jakim sposobem wydostać się z domu tak, by nikt nie zauważył. Drzwi nie wchodzą w rachubę, toteż otwieram okno i włączę na parapet.

– Co ty robisz? – Becca podskakuje z podekscytowania. – Ja też chcę! Chcę iść z tobą!

Znów obejmuję jej twarz obiema dłońmi i patrzę prosto w oczy.

– Becco, posłuchaj uważnie. Jeśli nie wrócę na kolację, powiesz panu Rothwellowi, że zadzwonił do mnie lekarz i kazał zrobić jakieś badania, i nie wiem, ile mi zejdzie, jasne? Muszę porozmawiać z tym chłopakiem.

Becca z powagą kiwa głową, lekko się krzywiąc, co znaczy, że zrozumiała. Przy odrobinie szczęścia będzie pamiętać moje słowa wystarczająco długo, by mnie kryć. Krzyżuję palce, robię nasz znak.

– Pilnuj domu, okej?

Znowu kiwa głową i uśmiecha się z zadowoleniem.

Kiedy moje stopy dotykają trawnika, zamyka okno i pokazuje kciuki.

Jakie są możliwości? Samochodu nie mam, ukraść też nie mogę, bo i tak nie potrafię prowadzić. Droga pieszo zajmie ponad dwie godziny. Autobus jeździ tylko trzy razy dziennie. Jedyna opcja to rower Bekki leżący na trawniku. Jeśli ktoś z rodziny zobaczy, jak pędzę w stronę lasu na rowerku ozdobionym różowymi wstążkami, z koszykiem dla lalki przyczepionym przy kierownicy, jak nic zadzwonią do opieki społecznej i przypną mnie pasami do szpitalnego łóżka, dlatego modłę się o dar niewidzialności.

Wskakuję na rower i zaczynam pedałowac, nie oglądając się za siebie.

Autobus jest już daleko, właśnie znika za zakrętem. Uda mi płoną od mocnego naciskania pedałów i błagam moje popsute serce, żeby jeszcze trochę wytrzymało, pozwoliło mi na zrobienie czegoś dobrego, dzięki czemu moje życie nabierze sensu, zanim ostatnim uderzeniem wystrzeli mnie z tej planety w kosmiczną pustkę.

Być może mam lepsze zadatki na giganciarę, niż mi się zdawało.

KYLE

Jestem tym gnojem, który miesiąc temu zabił najlepszego przyjaciela, z drugiego zaś zrobił kalekę. W sumie dopiero teraz dowiedziałem się o Joshu. Wyszedł ze szpitala tydzień temu, a ja przez ten czas nie mogłem się zebrać, żeby go odwiedzić. Wiem, palant ze mnie, ale szczerze, nie byłem w stanie nawet spojrzeć mu w oczy. Jego matka właśnie mi powiedziała, że być może już nigdy nie będzie chodził. Wciąż nic nie wiadomo.

To chyba tłumaczy, co robię w tym autobusie. Nie mogę wrócić do domu.

Nie ma mowy, żebym powiedział mamie. To ją dobije. A nie mogę też zachowywać się jak gdyby nigdy nic, kiedy jedno życie zabrałem, a drugie zniszczyłem. Tak się nie da.

Autobus podskakuje na wyboju, co wrywa mnie z piekielnych rozmyślań i przywraca do tu i teraz. Siedzę na samym końcu w rozklekotanym pojeździe. Serce chyba zaraz mi pęknie. Sprawdzam, po raz piąty, że pas mam zapięty i próbuję przekonać palce, żeby przestały tak mocno zaciskać się na siedzeniu.

Wychyłam się, żeby sprawdzić, dokąd jedziemy i zauważam, że kierowca przygląda mi się we wstecznym lusterku. Jego czarne

oczy pod gniewnie ściągniętymi brwiami raz po raz przeskakują między drogą a mną. Jestem jedynym pasażerem, a blizny na ramionach i twarzy raczej nie pozwalają mi wtopić się w tło, ale typ zachowuje się bezczelnie.

Zapadam się na siedzeniu, próbując zniknąć. Sprawdzam godzinę na telefonie. Piąta trzydzieści. Dokładnie trzydzieści jeden dni, dwanaście godzin i dwadzieścia pięć minut od chwili, gdy spowodowałem ten koszmarny wypadek.

Wcześniej nie cierpiałem matmy, ale teraz nie mogę się powstrzymać od dodawania. Kolejna sekunda, kolejna minuta, kolejna godzina to kolejna sekunda, minuta i godzina, które ukradłem Noahowi. Nie wspominając o tym, że Josh już nigdy nie będzie chodził. Gdyby tylko padło na mnie. Akurat gdy żołądek znów ściskają mi znajome mdłości, telefon wibruje w mojej dłoni.

To Judith. Niech się nagra na pocztę głosową. Nie mogę z nią rozmawiać, nie teraz. Może dziwnie to zabrzmie, ale to tak, jakbym zdradzał dawnego siebie, tamtego Kyle'a. Judith była jego dziewczyną, nie moją.

Muszę jakoś uspokoić rozedrgany umysł, wyciągam więc szkicownik i rysuję wyrzutka siedzącego w autobusie. Przez pięć czy sześć minut udaje mi się utrzymać myśli na dystans. Rysunek mógłby być lepszy, ale przynajmniej czuję się prawie normalnie. I akurat, gdy zaczynam marzyć, modlić się, tęsknić, żeby ten autobus jechał dalej i nigdy się nie zatrzymał, kierowca skręca i zwalnia. Ostatnio wszystkie moje życzenia się na mnie mszczą. Zapisuję w pamięci: wyszukać w internecie hasła „klątwa”, „złe oko”, „lampa Aladyna na opak”.

Autobus hamuje dosłownie naprzeciwko jednej z tych wielkich drewnianych tablic oznaczających wejście do parku, w którym byłem tyle razy: *Wodospady Noccalula*. Chwytam plecak, wrzucam szkicownik do środka i ruszam przejściem między fotelami. Kierowca, który otworzył tylko przednie drzwi, wciąż gapi się na mnie spode łba, nawet nie udaje dyskrecji. Przez niego ręce mi zwilgotniały. Mijam go ze wzrokiem wbitym w stopnie, ale jemu najwyraźniej niespieszno, żeby się ze mną pożegnać.

– Hej, chłopcze. Dokąd to o tej porze? Ktoś po ciebie pojedzie?

Rzucam mu spojrzenie pod tytułem: „A co ci do tego?”.

– To ostatni autobus. – Ściąga brwi jeszcze mocniej. – Nie wiedziałeś?

Staram się z całych sił zachowywać jak gdyby nigdy nic, chociaż czuję się jak kosmita w ludzkiej skórze.

– A, to... Nie, proszę się nie martwić, spotykam się ze znajomymi z drużyny futbolowej. – Wskazuję na plecak z lekkim uśmiechem. – Będziemy nocować w lesie. – Następnie przykładam palec do blizny na łuku brwiowym i z wymuszonym wyszczerzeniem należącym do dawnego Kyle'a dodaję: – I zapewniam, że wiemy już co nieco o survivalu i wyciągnęliśmy wnioski. Już nie boksujemy się z niedźwiedziami, tyle panu powiem.

Twarz kierowcy jest nieruchoma, zastygła, poważna, tak bardzo, że przechodzą mnie ciarki. Dobra, nie spodobał mu się mój tekst, rozumiem. Josh i Noah byliby zachwyceni. Uśmialibyśmy się, jak nie wiem. Jak zawsze. Ale to już nie wróci. Noah nigdy więcej się nie zaśmieje. Znowu czuję mdłości, szarpie mi bebeciami.

Zbiegam po stopniach tak szybko, na ile pozwala obandażowane kolano. W chwili, gdy moje stopy dotykają ziemi i słyszę ryk wodospadu, nawiedza mnie niezwykła jasność umysłu, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyłem. Nagle widzę wszystko bardzo wyraźnie i już wiem, że przywiodła mnie tu dzisiaj niewidzialna siła, bym mógł zapłacić za to, co zrobiłem. Po raz pierwszy od dawna udaje mi się zrobić pełen wdech. Drewniana tabliczka głosi: „Wodospad 500 metrów”. Idę za strzałką, zanurzam się w najbujniejszej części lasu. Silnik autobusu nadal pracuje na jałowym biegu, jakby się zastanawiał. Mija prawie minuta i dopiero wtedy słyszę, jak koła szorują po piaszczystej drodze i wreszcie kierują się w stronę autostrady.

Podciągam suwak skórzaney kurtki. Jak na wiosnę w Alabamie powietrze nadal jest chłodne. A może tylko mi się wydaje. Spoglądam w górę. Ogromne drzewa zdają mi się przyglądać, wskazują na mnie konarami, jakby uradowane, że są jedynymi świadkami mojego końca. Monotonny ryk wodospadu przyciąga mnie jak Magneto za sprawą supermocy. Dziwne, ale z każdym krokiem czuję się coraz bardziej zdeterminowany i jednocześnie też coraz bardziej odrętwiały, jakby już coś we mnie umarło. Wszystkie elementy wpadają na swoje miejsca, jak w zagadce, w której trzeba uzupełnić już tylko jeden fragment, by ujawniły się wszystkie, nawet najwstydlwsze, sekrety. Spomiędzy opadłych liści wyglądają zielone pędy. Kończy się jedno życie, zaczyna kolejne.

Myślę o tych, których zostawię. Znam Josha, postąpiłby tak samo. Jude znajdzie sobie kogoś, kto znów będzie ją rozśmieszał, lepszego chłopaka, jakim ja nigdy nie mógłbym być. A rodzice...

Cóż, przynajmniej nie będą musieli po kres swoich dni oglądać słowa „wina” wypalonego na każdym centymetrze mojej skóry, chociaż wiem, że nie zgodziliby się z wydanym przeze mnie wyrokiem. Nie będą musieli ciągać mnie po terapeutach, tłumaczących bez końca, że powinienem przestać czuć się jak ostatni gnojek, którym przecież jestem. Równie dobrze mogliby przekonywać pchłę, że jest superbohaterką. Wykluczone. Jestem gnojem i kropka. Reszta to kłamstwo.

W głębi serca wiem, że ofiaruję im wolność. Poza tym może spotkam Noaha. Może poproszę o wybaczenie. I może nawet je uzyskam.